

# BOLESŁAW PRUS

WIGILIA

Bolesław Prus

**Wigilia**

«Public Domain»

## **Prus B.**

Wigilia / B. Prus — «Public Domain»,

Pewien mężczyzna, redaktor, współpracownik wielu periodyków, uważający się za człowieka porządnego i obytego, ma perspektywę spędzić Wigilię Świąt Bożego Narodzenia w samotności. Wizja ta bardzo go złości, zwłaszcza gdy pomyśli, że zwykli roznosiciele gazet zasiądą do skromnego stołu w rodzinnym gronie. W pewnym momencie dostrzega tajemniczą zjawę. Ta przedstawia mu się jako Wigilia. Mężczyzna wraz z Wigilią odwiedzi wiele domów, w których ludzie będą zasiadać do świątecznego stołu. Będzie to doskonały pretekst do przyjrzenia się świątecznym obyczajom wśród różnych warstw społecznych. Nowela Bolesława Prusa pt. Wigilia wyraźnie koresponduje z klasyczną Opowieścią wigilijną Charlesa Dickensa. Utwór polskiego autora został po raz pierwszy opublikowany w „Kurierze Warszawskim” w latach siedemdziesiątych XIX wieku.

## Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

8

## Bolesław Prus

### Wigilia

Kiedy już przyniosłem, mówiąc między nami, jakąś bardzo niewyraźną babinę, kupioną za własne (krwawo zapracowane!) trzydzieści kopiejek, kiedy własną ręką w piecu napaliłem i własnymi obcęgami nakładłem węgli do własnego a pękatego samowara, wyznaję – że jakoś głupio zrobiło mi się na sercu.

Co u diabła! ja osoba taka porządna, tak sławna, ja, podpora i współpracownik tylu pism periodycznych<sup>1</sup>, ja – mający tu krewnych, tam przyjaciół, ówdzie powinowatych – będę sam jak palec, wówczas, gdy najostatniejszy z roznosicieli „Kuriera” cieszy się w kółku familijnym?

Wprawdzie byłem wczoraj „na rybce”, no – ale to na dziś nie wystarcza. Nie jestem głodny, nie zimno mi, wołałbym jednak w tej chwili patrzeć na jakąś zadowoloną twarz ludzką, która z wykwintych apartamentów moich wygnałaby nudy i zły humor...

Czuję, że jestem rozwścieczony na cały świat. Gdybym mógł, zmiażdżyłbym księżyc na tabakę, ziemię na jakie sto lat cofnąłbym w biegu, a słońce zamroziłbym tak, że aż by kwiknęło. Ponieważ jednak tego robić nie wypada, rzucę więc o podłogę stołkiem, aż mu się nogi rozleczą. Walentemu, kiedy przyjdzie mi wieszować, pokażę cierpki grymas, gospodarzowi wytoczę proces za to, że jeszcze nie dał mi piwnicy...

– Jak się masz, niedołęgo?...

– Tylko bardzo proszę...

Oglądam się... za mną jakaś jejmość... Czepek z żółtym fontaziem<sup>2</sup> i tiulikiem w zęby, watowane kaftanisko pachnie rybami, jak u śledziarki; w jednej kieszeni makagiga<sup>3</sup>; w drugiej pajac, pod pachą zaś cynowy sprzęt z drewnianą rękojeścią... A jaka talia u tej damy!... We trzech nie objęlibyśmy... – bodajem brał po sześć groszy od wiersza, jeżeli mówię nieprawdę!

– No! i cóż się tak gapisz? – wrzasnęła jejmość.

– Z kimże mam honor?... czy nie pani Lucyna?...

Wymówiłem imię to na chybił-trafił, przypuszczając, że ono najlepiej pasować będzie do postaci, jednoczącej w sobie wielką energię i niepospolitą gospodarność.

– Czyś zwariował?... Jaka Lucyna?... Nie Lucyna, tylko: Wigi... lia. Rozumiesz?...

– Wigilia?... Dalibóg, ładne imię. Niechże pani będzie łaskawa...

– Dlaczego mnie tytułujesz panią, mazgaju, kiedy widzisz, że jestem duchem?

– Duchem?... W każdym razie Wigilia to... zawsze niby płęć żeńska.

– Duchy nie mają płci...

– Doprawdy?... Czy...

– No, no, no... Dość już tego! Zabieraj się i wychodź, bo na romanse nie mam czasu.

Przypuszczając, że ręce korpulentnej damy mogą w razie potrzeby obracać się równie szybko, jak język, wciągnąłem co rychlej futro na grzbiet i czapkę na uszy; w parę zaś minut później byliśmy na ulicy.

\*

– Dalej nie pójde, pani dobrodziejko! – mówiłem do mojej towarzyszki, trzymając się oburącz bariery wydywanionych schodów. Dalej nie pójde, bo jeżeli nas kto zobaczy, to... pani wiesz?

---

<sup>1</sup> pismo periodyczne – czasopismo. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> fontaż – dekoracyjna wstążka. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> makagiga – ciasto z maku, miodu i orzechów. [przypis edytorski]

– Przywidzenie! – mruknęła dama, kładąc tłustą rękę na kryształowej klamce. – Mnie nie zrobią nic, no – a ty się wytłumaczysz... Wreszcie redaktorowie za tobą poręczą.

Popchnęła drzwi, mnie we drzwi, i otóż znaleźliśmy się w przedpokoju.

Salony, meble, światła... Pulchna figurka mojej towarzyszki jak najdokładniej odbija się w podłodze; dywan na stole, dywan pod stołem, aksamity na kanapie... Na marmurowych słupach stoją urny i bocianowate dzbany etruskie, fotele takie, że na najgorszym z nich z całą satysfakcją usiadłbym nawet wówczas, gdyby mi głowę w tej pozycji zdjąć miano. A portiery<sup>4</sup>... A złote kutasy<sup>5</sup>, ciężkie jak grzech śmiertelny!

Westchnąłem.

– Mój Boże! jakby też to mnie chudeuszowi wigilia smakowała w takim salonie!...

– Spójrz! – szepnęła moja przewodniczka.

Wsunąłem głowę pod jej ramię i zasłonięty portierą patrzałem.

W salonie były dwie osoby: młoda i piękna blondynka (cukiereczek! – powiadam), w powłóczystej sukni, i jakiś tyle chudy, ile znudzony frant, który siedząc na kanapie, przekładał nogi; a palcami cesał dosyć rzadkie faworyty<sup>6</sup>.

– Karolu, więc wychodzisz? – pytała blondyneczka głosem, który przeszył mi serce, jak materac tapicerska igła.

– Zostanę, Anielo, byleś mnie tylko... – odparłem.

– A cicho tee!... – mruknęła Wigilia, przyciskając mi bardzo poufale łokciem głowę do swojej watowanej talii.

– Muszę wyjść, duszko, jak cię kocham – teraz dopiero odpowiedział frant, znowu przekładając nogę.

– Więc zostawisz mnie samą nawet w tym dniu, Karolu?...

Ostrze głosu blondynki przeszło mnie gdzieś pod łopatką i oparło się na futrze.

– Przesady! sentymentalizm!... – ziewnął frant.

– Nie dbasz o mnie...

– Zdaje ci się tylko, aniołku – odpowiedział elegant, stając. – Gdybym o ciebie nie dbał, a i zwyczajów dawnych nie obserwował, nie kupiłbym ci przecież na kolędę garnituru za 315 rubli i pół, licząc w to dorożkę. No, bądź zdrowa!

To powiedziawszy, pochylił się nad piękną damą w powłóczystej sukni, ucałował kwiatek, który miała we włosach, i wyszedł.

W tej chwili w przeciwnych drzwiach salonu ukazał się lokaj:

– Waza na stole, proszę jaśnie pani!

– Możecie jeść – odpowiedziała, zasłaniając twarz chustką.

– Jaśnie pani nie będzie jadła wigilii?

– Z kimże?...

– Ze... – odezwałem się.

– Cicho! – mruknęła stara, wyprowadzając mnie na schody.

O blondynko, blondynko! gdybyś wiedziała, jakie serce biło dla ciebie z drugiej strony eleganckiej portiery...

---

<sup>4</sup> portiera – gruba, ciężka zasłona u okna lub drzwi. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> kutas – zwisająca ozdoba ze sznura w formie pędzla. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> faworyty – baczki. [przypis edytorski]

\*

Znowu zatrzymaliśmy się, tym razem przed żółtym, parterowym, wykoszlawionym, starymi gontami pokrytym domkiem, na którego widok, nie wiem z jakiej racji, przypomniałem sobie pieśń ludową:

„Chałupeczka niska” itd.

Wigilia oparła się o futrynę okna, ja stanąłem przy niej. Boże kochany! wszak ci ludzie nawet podwójnych okien nie znają, a wątpię, aby ogrzała ich ta muślinowa firanka i piec zakopcony, w którym tli się szczypta węgielków.

Na środku pokoju stół nakryty białym, nieco przykrótkim obrusem, obok – krzesła: jedno wyściełane, drugie drewniane i prosty stołek. Tapczan w jednym kącie, dziecinne, niegdyś politurowane łóżeczko z kratami w drugim, między nimi drzwi do alkierza<sup>7</sup> i – oto wszystko.

W mieszkaniu trzy osoby: starzec ślepy, jakaś wybladła kobieta i dziecko w żałobie.

– Ojczulku, już gwiazdy wzeszły, siadajmy! – zaczęła kobieta.

– A cóż nam imość dasz dzisiaj? – spytał stary.

– Jest, dziadziu, barszcz, jest, dziadziu, śledź, i są, dziadziu, kluski – odpowiedziało dziecko.

– Ho! ho!... bal!...

Tymczasem kobieta podała opłatki; łamali się i całowali.

– Ojczulku – rzekła znowu starsza – oto szalik na gwiazdkę, będzie ojczulkowi cieplej.

– A ja dziadziowi dam ołówek tabaki...

– Dziecino ty moja, Haniu serdeczna! – zawołał starzec, szukając rękami głowy dziewczynki – ja tabaki nie zażywałem, żeby tobie tę ot lalunię kupić, a ty mnie znowu tabakę dajesz, pewno z bułeczek twoich?...

I wydobył z za pazuchy kilkogroszową lalkę w różowej sukni.

– Jaka śliczna! – zawołało dziecko.

– A tobie, Kasiuniu, także szalik kupiłem... Ładny?

I podał kobiecie chustkę włóczkową.

– Czerwona, ojczulku...

– Bodaj tych Żydów! – mruknął stary. – Mówili, że czarna...

Zakołatano we drzwi.

– Prosimy! a kto tam?...

Na progu ukazał się tego zbudowany facet w kozuchu.

– To ja, sąsiad... (bodaj mnie roztratowali!...) Niech będzie pochwalony...

– Pan Wojciech! – zawołała kobieta. – Na wieki wieków...

– Podaj opłatki, Haniu – rzekł starzec, wyciągając ręce.

– Bo ja tu, z przeproszeniem, przyszedłem państwa prosić do nas na wilię. Stara, panie, Zosia i reszta (bodaj mi oś pękła na środku drogi) wszyscy hurmem proszą. Ot, co jest!

Przy tych słowach mówca plunął przez zęby.

– A panie Wojciechu, jakżebyśmy też śmieli panu robić subiekcję<sup>8</sup>?...

– Nic z tego (bodajem onosaciał<sup>9</sup>

---

<sup>7</sup> alkierz – sypialnia. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> subiekcja (daw.) – kłopot. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> onosacieć – zapaść na nosaciznę, chorobę bydła. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.